

Pierwsze konkursy grantowe w NCN

KRZYSZTOF REDLICH i JAKUB ZAKRZEWSKI

Pozycja polskiej nauki w świecie, niestety, powoli spada, jak wynika to np. z analizy przeprowadzonej przez Karola Życzkowskiego w „PAUzie Akademickiej” 139/140. Jedną z przyczyn takiego stanu była niewątpliwie polityka niedofinansowania nauki i naukowców w naszym kraju prowadzona w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Dlatego też całe środowisko z wielką nadzieją przyjęło powstanie Narodowego Centrum Nauki (NCN) i jego politykę grantową. Jako jedni z ekspertów panelu nauk ścisłych ST2 przedstawiamy nasze uwagi i spostrzeżenia odnośnie do pierwszych konkursów.

Jak wynika z analizy Karola Życzkowskiego, nauki podstawowe w Polsce – takie jak matematyka, fizyka, astrofizyka czy chemia – utrzymują się w rankingach w okolicach 15. miejsca w świecie. Niestety, jest to tendencja spadkowa: jeszcze 20 lat temu były to miejsca od 11. do 13., ale od tego czasu wyprzedziły nas takie kraje jak np. Dania, Izrael, Tajwan, Finlandia, Korea i Brazylia. Jedną z przyczyn takiej degradacji jest niewątpliwie niedofinansowanie tych „złagierowych” dla Polski obszarów badań. Wbrew wieloletnim tendencjom, stawiającym na finansowanie i rozwój nauk stosowanych, należy stwierdzić, że to w naukach *par excellence* podstawowych leży siła polskiej nauki.

W sytuacji, gdy środki przeznaczane na naukę w naszym kraju są bardzo ograniczone, oczywiste wydaje się finansowanie tego, co mamy najlepsze, tj. np. nauk ścisłych. Tymczasem w pierwszych konkursach NCN (z czerwca 2011) podział środków pomiędzy poszczególne panele dyscyplin odbywał się „proporcjonalnie”, tzn. środki były dzielone proporcjonalnie do łącznych sum, jakie zadeklarowano we wnioskach zgłoszonych w poszczególnych panelach. W efekcie prawdopodobieństwo sukcesu mieściło się w granicach 20–25 procent, w zależności od żądań, a nie potrzeb i poziomu naukowego projektów i ich kierowników.

Według ustawy o NCN, do zadań Rady NCN należy (Art. 18.2) określanie priorytetowych obszarów badań podstawowych zgodnych ze strategią rozwoju kraju. Nie znamy tej strategii, ale *a priori* należałoby rozwijać te dziedziny, w których jesteśmy bardzo dobrzy i w których możemy być konkurencyjni w świecie.

W pewnym stopniu taka koncepcja NCN była widoczna w kryteriach oceny wniosków zawartych w formularzach przedstawianych ekspertom do recenzji. Oceny zależały od jakości publikacji i dotychczasowych wyników

kierownika projektu. W ramach proponowanych kryteriów, publikowanie w wiodących światowych czasopismach i wysoka cytowalność publikacji były oceniane maksymalnie. Jednakże, przy takim sformułowaniu, zdecydowana większość wniosków w ramach panelu ST2 spełniała to kryterium. Zatem przyjęte kryteria okazały się zbyt słabe, aby różnicować projekty z fizyki, matematyki czy chemii, a zapewne były zbyt mocne, czy nawet nieodpowiednie, aby ocenić np. projekty w naukach humanistycznych, gdzie publikowanie w międzynarodowych czasopismach ma mniejszą rangę. Dlatego też konieczna jest zmiana kryteriów ocen i formularzy oraz ich dostosowanie do specyfiki poszczególnych dziedzin naukowych.

Okazuje się jednak, że taka zmiana nie jest dla NCN sprawą prostą – z czysto technicznych powodów. Otóż obsługą informatyczną wniosków NCN zajmuje się OPI (Ośrodek Przetwarzania Informacji) będący monopolistą w polskiej nauce. Podobno to OPI narzuciło jednakowe formularze dla wszystkich dziedzin, bowiem nie było w stanie dokonać zmian w systemie obsługi projektów w realnie krótkim czasie. To także OPI jest prawdopodobnie odpowiedzialne za fakt, że w pierwszej grupie projektów ogłoszonych przez NCN materiały do recenzentów mogły być wysłane na dwa tygodnie przed terminem wystawienia recenzji, a miesiąc po wyznaczeniu recenzentów. Jeśli tak jest w istocie, to pytamy, dlaczego OPI jest monopolistą obsługi projektów pod egidą NCN? Jaki jest sens preferowania jednego dostawcy, zamiast szukania rynkowych alternatyw, które byłyby bardziej efektywne?

Jakoś tak jest w Polsce, że w debacie o nauce pytania o pieniądze są sprawą wstydliwą. Przełamując tę barierę, zapytajmy: dlaczego Rada NCN nie ustali stawek honorariów dla wykonawców projektów? Standardowa odpowiedź, jaką słyszeliśmy wielokrotnie, jest taka, że jest to sprawa trudna, bowiem inne są zwyczaje w naukach humanistycznych, gdzie stawki są niewysokie, a inne w naukach inżynieryjnych, gdzie oczekiwane wynagrodzenia są dużo wyższe. Wydaje się nam jednak, że jest to uciekanie od problemu. Tyle samo bowiem jest warta dobra praca naukowa filozofa, biologa albo inżyniera elektronika.

W tym właśnie kierunku – pod wpływem dyskusji z ekspertami – poszedł NCN, ogłaszając 15 grudnia 2011 konkurs na staże podoktorskie, w którym forma finansowania stażysty jest ściśle określona. Uważamy, że takie podejście, z jednolitymi stawkami dla różnych dziedzin, ►

► powinno zostać rozszerzone na wszystkie konkursy finansowane przez NCN. Skoro, według NCN we wspomnianym konkursie z 15 grudnia 2011, kwota 10 tys. zł brutto jest akceptowalną propozycją dla stażysty po doktoracie, to 6 tys. zł powinno być dobrą ofertą dla doktoranta, 15 tys. zł dla profesora z tytułem na pełny etat czy też 20 tys. zł dla kierownika dużego projektu. Naturalnie, jeśli kierownik lub inny wykonawca takiego projektu poświęca tylko pewien procent swojego czasu na jego realizację, to powinien otrzymać odpowiednio mniejsze wynagrodzenie. Ważne jest, aby stawki były jawne i jednolite. Unikniemy wówczas dyskusji i szeptanych informacji oraz zobiektywizujemy ocenę finansową projektu.

Podobnie, jak uważamy, szkodliwy jest brak możliwości negocjacji czy też zmian kosztorysu projektu. Skoro stawki i inne koszty są aktualnie bliżej nieokreślone, waga kosztorysu rośnie – tymczasem ma ona niską rangę w ocenie końcowej projektu. Proponujemy, aby zespół ekspertów, uwzględniając oryginalną propozycję, miał możliwość sugerowania wartości realizacji projektu. Autor natomiast miałby prawo przyjąć lub też odrzucić taką propozycję. Byłaby to prosta reguła, która – w przeciwieństwie do stanowiska prof. Andrzeja Jajszczyka, przedstawionego w „PAUzie Akademickiej” 143 – nie wymagałaby dodatkowych nakładów.

Ustawa o NCN sugeruje konkretne konkursy, ale nie ogranicza Rady NCN w tym zakresie. Sugerujemy zatem, aby projekty dla „doświadczonych naukowców” (wg ustawy doświadczony badacz to taki, który, między innymi, opublikował przynajmniej 5 prac w ciągu ostatnich 10 lat) zastąpić lub rozszerzyć o konkurs dla „wybitnych uczonych”, ale (w przypadku nauk ścisłych czy nauk o życiu) z minimum 20 wyróżniającymi się publikacjami w ostatnich 10 latach. Humanisci na pewno zaproponowali swoje, wymagające kryterium. Ocenie ekspertów i recenzentów podlegałyby te właśnie publikacje – jeżeli są bardzo dobre, to przypuszczalnie uczoney będzie nadal twórczym i wybijającym się badaczem, gwarantującym realizację projektów na wysokim poziomie naukowym. Warto mu zatem zapewnić odpowiednie warunki pracy przez przydział grantu naukowego na np. trzy lata. Taka prosta procedura umożliwi selekcję najlepszych i da im szansę – z finansowym wsparciem NCN – zająć się tym, co umiemy najlepiej, czyli podstawową nauką. Obyśmy mieli takich wybitnych naukowców jak najwięcej.

KRZYSZTOF REDLICH

Instytut Fizyki Teoretycznej, Uniwersytet Wrocławski

JAKUB ZAKRZEWSKI

Instytut Fizyki im. M. Smoluchowskiego, Uniwersytet Jagielloński

Naukowcy z dużym h

ADAM PRONŃ i HALINA SZATYŁOWICZ

Ocena działalności badawczej naukowców poprzez zliczanie cytowań prac przez nich opublikowanych stało się w ostatnich latach bardzo popularne. Artykuły na ten temat ukazały się nie tylko w periodykach poświęconych życiu naukowemu („Forum Akademickie”, „PAUza Akademicka”), ale również w najpopularniejszych dziennikach i tygodnikach (ostatnio w „Tygodniku Powszechnym”). W „PAUzie Akademickiej” 147–149 z 22 grudnia 2011 Profesor dr hab. Andrzej Pilc opublikował artykuł pt. *Czy warto publikować analizy naukometryczne?*, w którym omawia sukcesy polskich lekarzy i naukowców zajmujących się biomedycyną w kontekście popularności ich prac. Przykro nam ujadać na autora, tym bardziej że kiedyś opublikował z nami wspólny artykuł, ale *amicus Plato, amicus Socrates sed magis amica veritas*.

Po pierwsze, należy zastanowić się, czy zliczanie cytowań nazwać można naukometrią (alternatywnie scjentometrią), a różne wskaźniki cytawalności wskaźnikami naukometrycznymi (scjentometrycznymi). Przecież popularność pracy nie jest prostą miarą jej wartości naukowej, a często nie jest wcale jej miarą. Przekonał się o tym starszy z autorów, odnajdując, onegdaj, w bardzo popularnych publikacjach pewnego kandydata na profesora szereg błędów merytorycznych. Wydaje się więc, że nazwa „bibliometria” i „wskaźniki bibliometryczne” jest tutaj właściwsza. Wskaźniki te, przydatne dla wydawców czasopism i bibliotekarzy, sięją dużo zamieszania w środowisku pracowników naukowych, bo często stanowią podstawę recenzji dorobku habilitacyjnego, wniosków o tytuł profesora czy wniosków grantowych. Sami nie jesteśmy bez winy, bo dawniej też używaliśmy wyrażenia „wskaźniki scjentometryczne” zamiast „wskaźniki bibliometryczne”.

Jeśli przyjrzeć się cytowaniom artykułów opublikowanych w specjalistycznych czasopismach dotyczących różnych dziedzin nauk ścisłych i przyrodniczych, to bardzo łatwo stwierdzić, że najpopularniejsze są takie publikacje, które nie są pracami naukowymi w ścisłym tego słowa znaczeniu¹. Najpopularniejsze są bowiem artykuły przeglądowe, prace podsumowujące stan badań w danej dziedzinie nauki, a w przypadku medycyny także publikacje opisujące wyniki badań klinicznych, prowadzonych równolegle w wielu szpitalach na całym świecie. Badania takie tylko pośrednio wiążą się z odkryciem naukowym, stanowią jedynie konieczną weryfikację kliniczną odkrycia już dokonanego. Specyfiką tych publikacji jest bardzo duża liczba autorów (często sięgająca kilkuset) i podobna liczba instytucji współpracujących. Innym źródłem bardzo dużej liczby cytowań są tzw. *Guidelines for...*, czyli artykuły, w których rekomendowane są najnowsze metody leczenia danych chorób. Nie chcemy oczywiście deprecjonować osiągnięć autorów takich artykułów. Naukowcy zaproszeni do pisania prac przeglądowych muszą bowiem wykazywać się szeroką wiedzą i dużą kulturą naukową, z kolei do porównawczych badań klinicznych zapraszane są z reguły zespoły o najlepszej reputacji, zaś aby być zaproszonym do zespołu opracowującego *Guidelines for...*, trzeba mieć najwyższe uznanie międzynarodowe.

Biorąc pod uwagę populację naukowców i sumaryczną liczbę artykułów publikowanych rocznie, można z góry powiedzieć, że w dziedzinie badań klinicznych, w każdym praktycznie kraju, czołówkę najczęściej cytowa-

¹ Wyjątek stanowią tutaj badania dotyczące fizyki cząstek, tego tematu nie będziemy jednak poruszać.

nych naukowców stanowić będą onkolodzy (włączając w to hematologów), kardiologów i epidemiologów. Dlatego właśnie niedoścignionym liderem cytowań w Polsce w ostatnim jedenastolecu jest kardiolog Andrzej Budaj, który z prac opublikowanych w latach 2000–2011 miał wg bazy *ISI* ponad 13200 cytowań ($h=43$), a według *Scopus* 14100 cytowań ($h=45$). Lista najczęściej cytowanych klinicystów, opublikowana w „PAUzie Akademickiej” 147–149 przez Andrzeja Pilca, nie ma więc wielkiego sensu, bo potwierdza tylko fakt, że onkologia, kardiologia i epidemiologia są najpopularniejszymi dziedzinami medycyny. Oczywiście dla niektórych czytelników tabela taka może być interesująca, bo wszystkie listy zawierające nazwiska wzbudzają wielkie zainteresowanie, włączając w to Listę Wildsteina.

Lista Pilca jest jednak w bardzo dużym stopniu niekompletna. Stosując kryteria ustalone przez autora ($h \geq 20$ dla zbioru artykułów z polską afiliacją, opublikowanych w latach 2000–2011), znaleźliśmy znacznie większą liczbę naukowców niż ta podana w tabeli zatytułowanej „Medycyna”. Ponieważ badania przeprowadziliśmy na samym początku stycznia 2012, a Andrzej Pilc we wrześniu 2011, od uzyskanej sumy cytowań odjęliśmy 30% cytowań z roku 2011, aby nie dokonać przeszacowania w stosunku do jego danych. Podkreślamy, żadne z nas nie ma nic wspólnego z medycyną czy naukami biomedycznymi, a mimo to wystarczyło nam bardzo pobieżne przeszukanie bazy danych *ISI* (z której korzystał Pilc) i *Scopus*, aby znaleźć kilkunastu naukowców klinicystów, nieobecnych na liście Pilca, którzy spełniają ustalone przez niego warunki. Są tam nie tylko profesorowie, ale także adiunkci z habilitacją lub bez niej. Wymienimy przykładowo kilka nazwisk: epidemiolog i onkolog Witold Zatoński z Warszawy ($h=25$ wg *ISI*, $h=26$ wg *Scopus*); neurolog Krzysztof Selmaj z Łodzi ($h=22$ zarówno wg *ISI*, jak i wg *Scopus*); epidemiolog Beata Peplowska z Łodzi ($h=21$ wg *ISI*, $h=22$ wg *Scopus*); hematolog z Lublina Anna Dmoszyńska ($h=21$ wg *ISI*); hematolog z Łodzi Anna Płużańska ($h=22$ wg *ISI*, $h=20$ wg *Scopus*); alergolog z Łodzi Marek L. Kowalski ($h=20$ wg *ISI*, $h=24$ wg *Scopus*); diabetokardiolog z Gdańska Krzysztof Narkiewicz ($h=20$ wg *ISI*, $h=22$ wg *Scopus*); specjalista chorób zakaźnych z Warszawy Andrzej Horban ($h=23$ wg *ISI*, $h=24$ wg *Scopus*). Przypuszczamy, że gdyby poprawną analizę danych przeprowadził ktoś, kto zna środowisko lekarskie, przedstawiona lista klinicystów byłaby jeszcze dłuższa.

Należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt liczby cytowań. Naukowcy (szczególnie mężczyźni) bardzo lubią się autocytować. Powinno się więc brać pod uwagę tylko cytowania niezależne, tj. takie, w których zbiory cytowanych i cytujących są rozłączne. Autorzy o dużym stopniu próżności (a są tacy na liście Pilca) potrafią wygenerować bardzo dużo autocytowań. W niektórych przypadkach powoduje to, że prawdziwy współczynnik h , bez autocytowań, jest niższy nawet o 5–6 jednostek od tego, w którym autocytywania nie są odjęte. Dlatego lepiej używać *Scopus*, który daje poprawkę na autocytywania wszystkich współautorów, niż bazy *ISI*, w której takiej możliwości nie ma.

Jeszcze mniej starannie sporządzona jest lista „re-kordzistów” cytowanymi w dziedzinie badań biomedycznych. Nie wiadomo np. na jakiej podstawie znalazł się na niej Jacek Oleksyn, który jest dendrologiem i ekologiem. Co prawda niektóre firmy przycinające gałęzie drzew nazywają się *tree surgery*, ale to nie powód, aby dendrologa zaliczać do przedstawicieli nauk biomedycznych. Z kolei Jacek Namieśnik jest chemikiem analitykiem, specjalizującym się w specjacji. Tutaj też powiązanie

z biomedycyną jest wątpliwe. Andrzej Pilc zapomniał o wielu badaczach, których bez żadnych wątpliwości trzeba zaliczyć do populacji biomedyków, jak np. genetycy Marek Gniadkowski z Warszawy ($h=20$ wg *ISI*, $h=21$ wg *Scopus*) i Tomasz Huzarski ze Szczecina ($h=21$ wg *ISI*, $h=21$ wg *Scopus*), a także biochemicy Sławomir Filippek ($h=22$ wg *ISI*, $h=23$ wg *Scopus*) i Andrzej Koliński z Warszawy ($h=23$ wg *ISI*, $h=23$ wg *Scopus*) oraz Henryk Kozłowski z Wrocławia ($h=24$ wg *ISI*, $h=24$ wg *Scopus*). Dodać też trzeba bioinformatyka Leszka Rychlewskiego z Poznania ($h=27$ wg *ISI*, $h=30$ wg *Scopus*), biofizyka Krzysztofa Ginalskiego z Warszawy ($h=20$ wg *ISI*, $h=20$ wg *Scopus*), biochemika Grzegorza Bartosza z Łodzi ($h=20$ wg *ISI*, $h=20$ wg *Scopus*) oraz wielu innych.

Niestaranność w przeszukiwaniu danych bibliometrycznych nie jest jedynym słabym punktem artykułu Andrzeja Pilca. Przecenia on znaczenie wskaźników bibliometrycznych, pisząc np. „sensownie prowadzona naukometa (bazująca na liczbie cytowań) była w stanie przewidzieć, kto w 2011 roku uzyska Nagrodę Nobla z fizyki, chemii, ekonomii czy medycyny”. Tu nie ma zgody, przynajmniej w dziedzinie chemii. W 2011 r. Nagrodę Nobla dostał Daniel Shechtman za odkrycie kwazikryształów. Naukowiec ten opublikował zaledwie 84 artykuły, z których tylko jeden był bardzo popularny – ten opisujący po raz pierwszy kwazikrystały. Biorąc pod uwagę wartość współczynnika h (21) i liczbę cytowań (5544), Shechtman nie mieści się nawet w pierwszych 10 tysiącach najczęściej cytowanych chemików czy fizyków i żaden program bibliometryczny nie mógłby go wskazać jako kandydata do Nagrody Nobla. Na szczęście komisja noblowska nie przejmuje się cytowaniami w takim stopniu, jak Andrzej Pilc i nierzadko nagradzała naukowców o niskim współczynniku h i małej liczbie cytowań. Innym przykładem noblisty, którego prace były stosunkowo mało cytowane, jest Yves Chauvin – laureat z 2005 r. W momencie przyznania mu Nagrody Nobla 75-letni Chauvin miał jedynie 2400 cytowań z 95 artykułów i współczynnik $h=23$. Chauvin dokonał jednak wielkiego odkrycia, wyjaśnił bowiem mechanizm metatezy – jednej z najważniejszych reakcji w chemii organicznej. Żaden program bibliometryczny, oparty na cytowaniach, nie mógłby wskazać Chauvina jako kandydata do Nobla.

Te dwa pouczające przykłady pokazują, że cytowania należy zawsze rozpatrywać w kontekście. Inną wagę ma zdawkowe odniesienie się do artykułu przeglądowego, aby pokazać zainteresowanie daną dziedziną wiedzy, inną – podkreślenie, że stosowało się metodologię opracowaną przez autorów cytowanego artykułu. W zbiorze wszystkich cytowań zdawkowe cytowania przeważają (choć w różnym stopniu). **W analizach dorobku naukowego żadne wskaźniki bibliometryczne nie zastąpią uważnego przeczytania co najmniej 10 reprezentatywnych publikacji ocenianego kandydata.** I o tym przypominamy wszystkim recenzentom. Bibliometria niesie ze sobą szereg pułapek, w które Andrzej Pilc często wpada. O ostrożnej interpretacji danych bibliometrycznych i ich jedynie pomocniczym znaczeniu pisali wielokrotnie Andrzej Kajetan Wróblewski, Karol Życzkowski, Grzegorz Racki, Marek Kosmułski i wielu innych. Są to jednak jak dotychczas głosy wołających na puszczy.

ADAM PROŃ

Dyrektor naukowy w Komisariacie ds. Energii Atomowej w Grenoble;
Politechnika Warszawska

HALINA SZATYŁOWICZ
Politechnika Warszawska

Mamałyga pod palmami albo globalność

Oxana jest Mołdawianką (jej narodowość przypomina mi piosenkę z młodości: „Rozwiczrzonny klon zielony...”). Poznałyśmy ją w Petah Tigva, w domu mojego szkolnego kolegi, który od 1957 r. mieszka w Izraelu. Kiedy pierwszy raz ugotowała na obiad mamałygę, powiedziała ze śmiechem łamaną polszczyzną: „to nasza huculska potrawa, którą bardzo lubię”. Przypomniało mi się lwowskie dzieciństwo, chociaż mamałygę lubię nie bardzo, ale moja wnuczka, absolwentka psychologii, urodzona w Warszawie, zapytała na stronie: „Co to jest mamałyga?” I to wywołało zupełnie współczesne refleksje.

W Izraelu ponad jedną czwartą mieszkańców stanowią dzisiaj przybysze z terenów dawnego ZSRR, nazywani po prostu Rosjanami, a także, odróżniani od nich, Ukraińcy. Języki rosyjski i ukraiński słychać na ulicach, w autobusach, właściwie wszędzie. Znając je całkiem słabo, ale także i pytając po polsku, można się łatwo dowiedzieć o drogę.

Przybyłe do Izraela rodziny urządziły się szybko, otwierając sklepy, zakłady usługowe, banki, biura turystyczne. Kobiety, które zostawiły swoje rodziny w Karpatach, na Podolu, Wołyniu, nad Dnieprem (rzadziej), stanowią osobną kategorię: opiekunek osób chorych, starych, niepełnosprawnych (kilkanaście lat temu robiło to wiele Polek). Pracują ciężko za wynagrodzenie (liczone w dolarach), które pozwala, jak Oxanie, opłacać drogie lekarstwa dla chorego wnuczka; a innym – budować, a potem urządzać dom czy wspomagać dzieci, które utraciły pracę. Zatrudnione są legalnie, w ramach drobniagowej izraelskiej biurokracji, określającej dokładnie ich prawa oraz powinności pracodawców. Ci ostatni muszą np. zapewnić wolne w święta prawosławne lub katolickie, choć sami w tych dniach pracują i muszą zorganizować różnorakie zastępstwa.

Losy ziomków Oxany zostaną pewnie kiedyś zbądane i opisane przez historyków i socjologów, a także znajdą miejsce w literaturze i filmie, tak jak udokumentowano dziewiętnastowieczną emigrację polskich chłopów „za chlebem”. Że jednak zjawiska społeczne są dzisiaj o wiele bardziej efemeryczne, a procesy postępują w zawrotnym tempie, warto zanotować to, co zwraca uwagę nawet przelotnego obserwatora.

Oxana codziennie rozmawia ze swoją córką, mieszkającą setki kilometrów od Petah Tigvy, przez Skype'a. Opowiada o życiu w domu, gdzie pracuje, a gospodarz, „pan doktor”, wtrąca się, komentując pomysły kulinarne, które modyfikują tradycyjną mamałygę dodatkiem... daktyli. Wydaje się, że wzajemna otwartość na różnice kulturowe nie jest wymuszona, lecz spontaniczna. Trochę na tym traci urok egzotyki spodziewanej i oczekiwanej

przez odwiedzających Izrael i Ziemię Świętą turystów, ale dialog, niewerbalizowany publicznie, toczący się w domach, wokół spraw najbardziej powszednich, wart jest takiej ceny.

W izraelskiej telewizji codziennie mówią o wojnie – tej, jaka toczy się, z mniejszym lub większym natężeniem, między Żydami a Palestyńczykami, i tej, jaka może łađa chwila wybuchnąć – z Libanem albo Iranem. Po wyjściu z domu ludzie zapominają o niebezpieczeństwie, do kolejnego wieczornego dziennika.

Kiedy z Petah Tigvy wybierałyśmy się do pobliskiego miasteczka zamieszkanego przez „pobożnych Żydów”, jak potocznie określa się wierzących, mój kolega ostrzegał, że kobiety w spodniach bywają tam narażone na wyzwiska, a nawet obrzucenie kamieniami. Odniosłam wrażenie, że na nic takiego się nie zanosilo, podobnie jak wcześniej w jerozolimskiej dzielnicy chasydów, w szabat zamykanej szlabanem, żeby auta „świeckich” nie wjeżdżały, gdzie pełno sklepów z perukami i nakryciami głowy dla mężatek. Poczucie bezpieczeństwa i tego, że nie jesteśmy traktowane jak obce, ugruntowała rozmowa w jadalni (po polsku, ale z człowiekiem urodzonym w Izraelu), stając się asumptem do długich dyskusji po powrocie. Dotyczyła zmian w mentalności pokoleń wychowanych w państwie Izrael, będących rezultatem świadomej polityki władz. Dzieci tych, którzy przeżyli Holocaust, starano się wyzwolić z kompleksu ofiary, początkowo za cenę oddalania czy wręcz zacierania pamięci o Zagładzie. Nowi Izraelczycy mieli być silni i przekonani o własnej sile – fizycznej oraz duchowej – odważni, pewni swego prawa do Ziemi Obiecanej i gotowi jej bronić. Zdaniem naszego rozmówcy z miasta „pobożnych”, to się ojcom założycielom udało.

Na Marsze Żywych do Auschwitz przyjeżdżają, od kilkunastu już lat, młodzi, świadomi losów swojego narodu, ale z ugruntowaną wolą uczestniczenia w globalnym świecie wspólnych podstawowych wartości. Niezależnie od tego, czy są głęboko religijni czy obojętni.

Napływ emigrantów z innych kręgów kulturowych, nosicieli innego obyczaju, zarazem podobnych jeszcze nierzadko doświadczeń historycznych, jest ich spotkaniem z tradycją starotestamentową i z najnowocześniejszą technologią. Z doskonale zorganizowaną pracą – od niedzieli do piątkowego popołudnia – i powszechnym skupieniem oraz bezruchem szabat. Pośród kontrastów kształtują się nowe postawy, a przez szybkość i łatwość komunikacji oddziałują globalnie.

Mamałyga z daktylami nie jest już niczym egzotycznym.

MAGDALENA BAJER

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Andrzej Szczekliak (przewodniczący), Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów i korespondencji oraz zaopatrywania ich własnymi tytułami. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.



Pierwszy rok NCN

Zakończył się rok 2011 – pierwszy rok kalendarzowy, który w całości może zostać zaliczony do historii Narodowego Centrum Nauki. Korzystając z okazji, warto podsumować ten okres działalności NCN. Pozostawię na boku kwestię zasadności powołania do życia agencji skupiającej się na finansowaniu badań podstawowych. Francis Bacon już około 1620 r. celnym aforyzmem podkreślił wagę badań o charakterze nieaplikacyjnym: „Prawdziwa wiedza to znajomość przyczyn”. Rozumiem, że dla niektórych finansowanie badań naukowych nie nastawionych na praktyczne zastosowanie może być tematem do dyskusji, ale zakładam równocześnie, że podkreślenie roli badań podstawowych w środowisku czytelników „PAUzy Akademickiej” nie jest konieczne.

Budowa od podstaw nowej instytucji w tak niezwykle krótkim czasie wydaje się rzeczą nadzwyczaj ambitną, ale jest to również olbrzymie wyzwanie i doświadczenie, które trudno powtórzyć. Osobiście jest to dla mnie również potwierdzenie, że chociaż my, Polacy, lubimy narzekać na naszą skłonność do złego zarządzania, to jednak szereg przedsięwzięć, które podejmujemy, od Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, przez organizację masowych wydarzeń typu pielgrzymki papieskie, po budowę od podstaw NCN, jest dowodem na to, że przy dobrej motywacji potrafimy zorganizować rzeczy trudne niemalże od ręki, a rzeczy niemożliwe... zaraz następnego dnia.

Prace nad ustawą

Co prawda ustawa o Narodowym Centrum Nauki weszła w życie w dniu 1 października 2010 r., ale pierwsze trzy miesiące istnienia Centrum były przeznaczone na prace organizacyjne mające na celu budowę struktury administracyjnej Biura NCN. Gwoli przypomnienia: data 30 kwietnia, która znalazła się w pełnym tytule ustawy (ustawa z dnia 30 kwietnia 2010 r. o Narodowym Centrum Nauki), to data przyjęcia przez Sejm stanowiska Senatu w sprawie projektu tej ustawy. Warto zwrócić uwagę na tempo prac nad samą ustawą. Projekt został złożony do łaski Marszałkowskiej 7 stycznia 2009 r. Nad projektem pracowano kolejno: w Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży, na posiedzeniach plenarnych Sejmu, w senackiej Komisji Nauki, Edukacji i Sportu oraz na posiedzeniu plenarnym Senatu RP. Po przyjęciu stanowiska Senatu przez Sejm, projekt ustawy o Narodowym Centrum Nauki został skierowany do Prezydenta RP. 20 maja 2010 r. został podpisany przez Bronisława Komorowskiego, Marszałka Sejmu RP, który wykonywał w tym czasie obowiązki Prezydenta RP. Warto zwrócić uwagę na fakt, że dzięki inicjatywie i zaangażowaniu pani minister Barbary Kudryckiej prace nad projektem ustawy powołującej do życia NCN przebiegały niezwykle sprawnie, tym bardziej, że równocześnie rozpatrywane były projekty pozostałych aktów z pakietu ustaw reformujących naukę, czyli ustawa o zasadach finansowania nauki, ustawa o Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, ustawa o instytutach badawczych, ustawa o Polskiej Akademii Nauk oraz ustawa – Przepisy wprowadzające ustawy reformujące system nauki.

Lokalizacja NCN

Z punktu widzenia ustawy o Narodowym Centrum Nauki, poza uregulowanym w tym akcie zakresie zadań, trybem pracy i organizacją Centrum, niezwykle istotną kwestią była lokalizacja nowo powołanej instytucji w Krakowie. Jest to o tyle ewenement, że urzędy o ogólnopolskim zasięgu działalności pozostają domeną stolicy, a przypadki lokalizacji instytucji tego typu poza Warszawą należą do rzadkości. Można by tu poruszyć sprawę siedziby Centrum. W tej chwili NCN wynajmuje powierzchnię biurową w budynku Biprostalu przy ul. Królewskiej. Zabezpiecza

to bieżące potrzeby Centrum, ale biorąc pod uwagę, że NCN jest jedynym w Krakowie urzędem o ogólnopolskim zasięgu działania, nie byłoby niczym niewłaściwym zlokalizowanie instytucji w ścisłym historycznym centrum miasta.

Tempo prac

Oczekiwania środowiska naukowego względem Centrum od początku były wyraźnie określone i na bieżąco przedstawiane. Było to przede wszystkim oczekiwanie jak najszybszego ogłoszenia NCN-owskich konkursów, które w dużej mierze miały przejąć funkcję cyklicznych konkursów organizowanych wcześniej przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Mówiąc najkrócej: Centrum miało przekazać polskim naukowcom w drodze konkursów środki przewidziane w ustawie budżetowej na finansowanie badań podstawowych. Było to o tyle istotne, że ustawa o Narodowym Centrum Nauki nie przewidywała, żadnej „zakładki” pozwalającej na zorganizowanie dużego konkursu grantowego na finansowanie projektów badawczych przez MNiSW. NCN miało jednocześnie zbudować własną strukturę, przygotować i ogłosić konkursy oraz ocenić zgłoszone wnioski, a następnie przekazać do jednostek naukowych pieniądze na realizację wyłonionych projektów. Cel ten od początku przyświecał osobom zaangażowanym w budowę Biura Centrum tzn. profesorowi Szczepanowi Bilińskiemu, pełnomocnikowi ds. utworzenia NCN, profesorowi Andrzejowi Jajszczykowi, dyrektorowi NCN oraz pierwszym pracownikom Centrum. Trudno również przecenić rolę Rady NCN, która, kierowana przez profesora Michała Karońskiego, w bardzo krótkim czasie tzn. pomiędzy 15 grudnia 2010 r. a 15 marca 2011 r. przygotowała konkursy na stanowiska dyrektora NCN, koordynatorów dyscyplin oraz określiła warunki czterech pierwszych konkursów ogłoszonych przez Centrum 15 marca 2011 r.

Konkursy

Zarówno Dyrekcja, Rada, jak i pracownicy NCN włożyli wiele wysiłku, by sprostać oczekiwaniom polskich naukowców. Do chwili obecnej Centrum ogłosiło 11 konkursów (w podziale na sześć typów) w 4 edycjach. W ten sposób NCN odszedł od wcześniej praktykowanej zasady cyklicznych konkursów, w ramach których polscy naukowcy mogli ubiegać się o finansowanie projektów badawczych własnych, w tym habilitacyjnych, i projektów promotorskich. W obecnej ofercie NCN jest sześć typów konkursów, przy czym każdy typ konkursu jest adresowany do konkretnej grupy naukowców, starając się uwzględnić tyle nie konkretną dyscyplinę nauki, czy rodzaj jednostki naukowej, w której pracuje wnioskodawca, ale poziom zaawansowania badacza i charakter jego pracy.

Co jest największym sukcesem Centrum do tej pory? Z pewnością to, że nie zawiedliśmy oczekiwań i stworzyliśmy urząd oraz procedury, dzięki którym przekazaliśmy polskim naukowcom niemalże cały budżet przewidziany na ten cel w 2011 r. tzn. 469 mln zł z 471 mln zł. Oczywiście pozostają jeszcze wyzwania typu utrzymanie planu ogłaszania konkursów w 2012 r., obsługa projektów wyłonionych w już zakończonych konkursach oraz projektów z konkursów z lat 2005–2010 przejętych z MNiSW. Osobną, niezwykle ważną sprawą pozostaje określenie przez Radę NCN priorytetowych obszarów badań podstawowych, zgodnych ze strategią rozwoju kraju. To spore wyzwania, ale jak mawiał Henry Ford: „Nic nie jest szczególnie trudne do zrobienia, jeśli tylko rozłożyć to na etapy”.

TOMASZ BZUKAŁA

p.o. zastępcy dyrektora Narodowego Centrum Nauki